ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

W Królestwie i Ces. 4 r. rocznie, w Galicyi 10 koron.

Adres redakcyi i administracyi: Warszawa—Al. Jerozolimska, 49. Kraków — Zyblikiewicza, 8.

Eliza Orzeszkowa.

BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

— No, kiedy pan Burakiewicz, to nic wcale ta wizyta nas nie obchodzi. Z widzenia go tylko znamy i to—rzadkiego. Sąsiad, ładny majątek w pobliżu ma, ale panują jakieś tam przeciwko niemu uprzedzenia. Ważne to, że, niezbyt dawno w strony te przybyły, krewnych ani dawnych znajomych tu niema. Obcy i—Bóg wie kto. Ale ważniejsze jeszcze, że towarzyska strona jego niezmiernie wiele podobno do życzenia pozostawia Elegantem podobno chce być i raz do kościoła przyjechał, tak obficie jakiemiś okropnemi perfumami oblany, że pewna sąsiadka nasza, osoba słabowita i wielce trefna, zemdlała i z ławki kościelnej spadła, a modlący się gdzieś w pobliżu marszałek Boniecki tak się rozkichał, że aż mu nos nieco spuchł. Napoleona III-go stale podobno nazywał Bonapart, na istnienie końcowego *e* w tem nazwisku na żaden sposób zgodzić się nie chcąc, i często-gęsto do mowy swej dyabła mięszał, jako to: Pal go dyabli! Niech go dyabli porwą! Dyabli wiedzą, co to znaczy et c. I „szelmę“ także mięszał. Ktoś słyszał go mówiącego: „dyabli wiedzą, co ten szelma Bonapart dla nas za pazuchą swoją chowa“, a raz zapytany, j k mu się jakaś panna podoba, odpowiedział: „śliczna szelma, jak sto dyabłów!“

Człek tedy niewykształcony i nieuobyczajony prostak. Ekonomski syn podobno, czy coś podobnego. Bóg wie kto. Ale myśmy o tem wszystkiem ze słyszenia tylko wiedziały. Z interesami tu i owdzie przyjeżdżał czasem, lecz tylko przez gospodarzy domu przyjmowany, gospodyniom ich nigdy przedstawianym nie bywał. *N'étant pas présentable*, do towarzystwa nie należał. Ale też można było powiedzieć, że się do niego wcale i nie garnął. Bezżenny, niemłody, żył na stronie, nikomu się nie narzucał, spokojnie sobie starzejąc i siwiejąc, gdyż, parę razy spostrzegłszy go w kościele i pobliskiem miasteczku, wiedziałyśmy, że ma srebrną siwiznę na głowie i wokół twarzy. A twarz ta, mocno rumianą cerą właśnie do nazwiska mu przypadała, dwojgiem tylko oczu bardzo błękitnych i błyszczących śród czerwoności ogólnej świecąca. Było to tak zupełnie, jakby kto w ćwikłowy burak wprawił dwie od rosy błyszczące niezapominajki i wszystko razem na srebrnej kądzieli położył.

Nic wcale tedy nie obchodziło nas to, że p. Burakiewicz za interesem jakimś zapewne do gospodarza domu przyjechał i szyłyśmy dalej, w robocie i milczeniu pogrążone, gdy nagle głos na uroczystą nutę nastrojony wymówił.

— Memento mori!

To Oktunia, ręce na kolana opuściwszy i żałosnym wzrokiem po nas wodząc, słowa te pogrzebowe wymówiła i dodała.

— Jak w klasztorze, gdy na Silentium zadzwonią...

— Jak u kamedułów, — szepnęła Stefunia.

— Dla czego nie rozmawiamy? Rozmawiajmyż!

Aha? Dla czego nie rozmawiałyśmy! Łatwo to powiedzieć: rozmawiajmy! Kiedy ręce niewprawne coś z wielkiem staraniem i niemniejszym zapałem robią, usta aż oddymają się lub aż zaciskają się z gorliwości, z wysilenia, a głowa im słów żadnych nie podpowiada.

— Przeczytajmy cokolwiek!

— Niech kto głośno poczyta!

Dobrze! Ale w takim razie jedna para rąk od roboty się oderwie. No, niech tam! Godzinkę jaką, dwie —para rąk popróżnuje, za to innym przyjemniej pracować będzie.

Skoczyłam do sąsiedniego salonu, wzięłam ze stolika ogromnie wówczas czytywaną, rozrywaną broszurę, w której Edmund Abont dokonywał nowego podziału Europy i wyznaczał w nim szerokie miej-

sce Polsce wielkiej, potężnej, niepodległej. Powszechnie utrzymywano, że pisarz ten był powiernikiem, zausznikiem cesarza franc. Napoleona III-go i że, jakby p. Burakiewicz powiedział, Bonapart ten sam mu ją podyktował. Więc kombinacye polityczne szerokie i głębokie, zakreslanie nowych wcale granic państwowych, całkowite przemalowywanie mapy europejskiej—i kolorem najróżowszym z rożowych wymalowana na niej przyszłość Polski. A kiedy *Banapart* tak myśli, takie układa plany i żywi pragnienie, to już najpewniej tak się stanie, koalicya państw zachodnich na rzecz naszą się zawiąże i wszystkie te zmiany, drogą pokoju albo drogą wojny, przeprowadzi. I trzeba tylko, abyśmy sami rąk i serc nie opuścili, abyśmy w mężnej walce nie ustali, abyśmy jej sztandar jaknajdzielniej, jaknajwytrwalej rozwijali, — a Zachód z pomocą nam przyjdzie i tryumf sprawiedliwości, wolności, tryumf Polski, która od tak dawna za dwie te idee cierpi i walczy, radosne surmy i trąby, rozgłośne hymny i peany, na wszystkie cztery strony świata rozgłoszą. Tak pisał na rozkaz podobno pana swego zausznik i powiernik Bonaparta. A gdy słowa pisania tego, żywym głosem odczytywane, rozlegały się po różowym pokoju, Boże! jaką radością skakały nam w piersiach serca, jakie gorące hymny i peany wyśpiewywały wiośniane nasze głowy! Na cześć wspaniałomyślnego i rycerskiego świata, na cześć Bonaparta i sprzymierzeńców jego, na cześć blizkiego, niezawodnego, ogromnego tryumfu Polski, hymny i peany wyśpiewywały głowy wiośniane i wrzące serca nasze...

A że potem te głowy i serca— tak zwiedzione! — przez życie szły i do mogił doszły, na świat i ludzi przekleństwa nie rzuciwszy — dziw!

Lecz wtedy — kiedy walce tej świętej i tak przez obcych nawet podniecanej dopomagać—to dopomagać, ze wszystkich sił, każdą krwi kroplą, każdą iskrą ducha! Cała krew nasza i cały duch nasz rwały się, pędziły do — dopomagania i szczęśliwe czyniłyby wszystko... Ale tymczasem nic jeszcze do czynienia nie było, oprócz szycia.

Więc słuchając pieśni słynnego francuza, cudnej pieśni, z wężowej gardzieli płynącej, szyłyśmy, szyły, szyły, czasem łzę rozrzewnienia z rzęsy ocierając, czasem twarze z nad roboty podnosząc i porozumiewawczo zamieniając się zachwyconemi, rajskiemi uśmiechy.

Nagle—w drżący często od wzruszenia głos czytającej, w wymowne słowa francuzkie wpadło podniesionym głosem wymówione jedno tylko słowo polskie.

— Zabrakło!

— Jezus Marya! Krzyknęłyśmy wszystkie i, zerwawszy się na równe nogi, otoczyłyśmy Czernisię, od której wyszło to słowo fatalne.

Z długiemi, cienkiemi ramionami, wzdłuż figury długiej i cienkiej opuszczonemi, stała Czernisia zasmucona, zmięszana, a my, oniemiałe zrazu z konsternacyi, załamywałyśmy ręce lub z desperacyą niosłyśmy je ku głowom.

Więc tedy zabrakło!

— Do ilu zabrakło?

— Wykroiłam siedemdziesiąt ośm... już przy końcu coraz węższe, węższe paski kroiłam...ale, Panie Boże ratuj!... więcej nie wyszło. Do dwudziestu dwóch zabrakło!

Klęska nie tak ogromna, jak przepowiadała Marylka, jednak klęska.

Panie Boże ratuj! bo innego ratunku znikąd nie widać.

Chyba do panów pobiedz i prosić, błagać, aby coprędzej do miasta posłali, do tego dalekiego... Ba! czasu za mało... za mało... i jak tam jeszcze sprawi się ten posłaniec...

Niech która z nas sama pojedzie!

Łatwo powiedzieć! Każdej coś na przeszkodzie stoi i zawsze ten czas, ten czas! Lada dzień przecież wszystkiego od nas zażądać mogą, a tu—nie gotowe! Stefunia mówi, że od męża swego wie, że lada dzień... a kiedy naczelnik organizacyi tak mówi...

Bieda! gorzka nawet bieda! Takiej drobnostki nawet nie módz porządnie zrobić! Wstyd! Wiemy, że winy w tem naszej niema, jednak wstydzimy się czegoś... może złośliwe żarty męzkie z roboty niewieściej przeczuwając.

Kiedy tak biedujemy i środki ratunku wymyślamy, żadnego wymyśleć nie mogąc, drzwi od pokojów dalszych uchylają się nieco i przez wązki otwór nieśmiało zrazu wygląda utrefiona ładnie głowa Marylki Jaroszyńskiej, a potem wysuwa się ze szczeliny całkowicie, i dziewczyna, z filuternym jakimś ognikiem w oczach do różowego pokoju wchodzi. W miłości własnej trochę zadraśnięta, trochę może za drzwiami podsłuchiwała, jak sprawa z barankami się rozstrzygnie i co Czernisia o niej powie, a teraz weszła i zcicha, spokojnie, ale z czemś filuternem w uśmiechu i w oczach, mówić zaczęła.

— Proszę pań, przez przedpokój teraz przechodziłam i futro pana Burakiewicza widziałam... Takie śliczne baranki! Siwe takie, delikatne, od tych del kainiejsze... śliczne!

Aż policzek na dłoń opuściła z podziwu nad ślicznemi barankami p. Burakiewicza.

A my na wieść tę aż zadrżałyśmy od srogiej, piekącej, od zjadliwej pożądliwości — czy zazdrości. Jeżeli jest na świecie oskoma moralna, tośmy wtedy napewno jej doświadczyły. Ot, człowiek szczęśliwy, który takie baranki ma!

— I całe takie futro barankowe ma? — głosami osłabłemi zapytujemy.

— Caluteńkie! — Marylka odpowiada, a filuterne ogniki w oczach aż żarzą się i uśmieszki po ustach jej—aż skaczą.

— Niech panie pójdą i zobaczą, że nie kłamię,—mówi.

To prawda! Żeby choć zobaczyć! Pójdźmy zobaczyć!

Wniosek uczyniony jest przez Wincusię, która z wielkiemi nożycami w ręku nad stosem pokrojonych kaszmirów stoi, wszystkiemi swemi stalowemi szpilkami, broszkami, klamrami błyska i wygląda bardzo energicznie.

— Pójdźmy zobaczyć! pójdźmy!

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

Garson we fraku już się kłaniał, podając długą, białą kartę.

— A Szato-Lafit jest?—wypominał wciąż tym samym płaczliwym głosem.

Garson podał inną kartę, a młodzieniec zapatrzył się w przestrzeń i rzekł ponuro.

— Dobrze, tak podawaj stakan czaju s limonom!

Marychna wzgardliwie wzruszyła ramionami, garson osłupiał, a oni odmaszerowali równym, wymierzonym krokiem do bocznego stolika.

Józio parsknął śmicchem i podniósł się, bo już czas było na pociąg, gdy weszła jakaś para podróżnych. Tragarz niósł za niemi wspaniałe walizy, Józio został jakby przykuty do miejsca tak go oczarowały: były płaskie, skórzane, okute miedzią na kantach i oblepione rożnokolorowemi adresami hotelów. Spacerujące po sali, dojrzał coś, co go wprowadziło w osłupienie, że patrzał w zachwycie na ich cudaczne, szare palta, podobne do nocnych koszul, fałdzisto spadających do samej ziemi.

— Niesłychane! Nadzwyczajne!— kontemplował, a gdy zasiedli przy ogólnym stole do herbaty, krążył dokoła, pożerając ich oczami podziwu, nadto posłyszawszy, że mówią po angielsku, prawie zdrętwiał z rozkoszy.

— Anglicy! Prawdziwi anglicy!—opowiadał znajomym po sali.

A poczekalnia napełniała się coraz bardziej, gdyż na pośpieszny zbierało się codziennie całe towarzystwo z miasta, jakby na uroczyste nabożeństwo. Co chwila jęczały na podjeździe dzwonki sanek i ktoś wchodził do sali, co chwila rozlegały się głośne powitania i wzmagał się gwar rozmów i śmiechów. Przy bufecie zadzwoniły kieliszki, sapała pompa od piwa, i panna Marychna, świeżo upudrowana, z wypiętym dumnie gorsem, czujna na każde skinienie, bezustannie rozdawała wódkę, przekąski, czarujące uśmiechy, piwo i spojrzenia powłóczyste.

Zaś po sali roiły się grupami wspaniale rozwinięte matrony, eteryczne dziewice, wiotkie podloty, zwycięsko podkręcone wąsy, dostojne brody i jeszcze dostojniejsze obwisłe brzuchy, obrzucając się nawzajem oczami i dyskretnemi, zjadliwemi uwagami.

Rozpuszczone szable tłukły się zuchwale po kamiennej posadzce, gdzieniegdzie wybuchały perliste śmiechy, z pod białych woali strzelały zabójcze spojrzenia, niepokojąco szeleściły jedwabne halki, powiewały fantastyczne pióra u kapeluszów, z wybielonych twarzy krwawiły się wyzywająco usta, gięły się smukłe figury, aż trzeszczały gorsety, i coraz częściej przelatywały jadowite słowa i dowcipy, gdyż grupowano się wedle stanowisk i wrogo, zgóry a niedbale, mierzono się oczami.

Mdły zapach perfum, cygar, zwietrzałego piwa i wilgotnej pary unosił się w powietrzu.

W sali zrobił się jakby wielki raut, że nawet dosyć liczni podróżni przesuwali się lękliwie pod ścianami zasiadając po kątach na walizach i tłumokach, bo wszystkie krzesła i kanapy już były pozajmowane przez dostojne towarzystwo, które, nasyciwszy się plotkami, zwróciło łaskawą uwagę na nieznajomą parę, a po ścisłej lustracyi, sama pani prezesowa zawyrokowała.

— Bardzo dystyngowani, muszą być z arystokracyi.

— To są anglicy! — objaśniał Józio uniżenie.

— Jakaś lordowska para jakby z powieści Miss Crafford! — zauważyła prezesówna, wielce wykształcona na dodatkach powieściowych Bluszczu.

— Istotnie, nawet piją herbatę i jedzą chleb z masłem.

— We wszystkich powieściach angielskich wszyscy piją herbatę ze śmietanką i jedzą grzanki z masłem,— wtrącił nieśmiało Józio, ale, spiorunowany wzrokiem prezesowej, cofnął się przerażony własną zuchwałością.

— On podobny do młodszego syna z „Jaskółki“ miss Braddon, pamięta mama? Ale to z pewnością jakaś romantyczna para! — szepnęła ciszej.

— Idzie pan Raciborski, to powie, zkąd się tu wzięli ci anglicy.

Ogromny, siwy szlachcic w szarej bekieszy, w szarej czapie i z czarnemi wąsami, groźnie sterczącemi, pocałował prezesową w rękę i mruknął zgryźliwie.

— Oni są tacy anglicy, jak ja Yorkshire!

Posypał się na niego grad pytań, przetrzymał misterną pauzę i rzekł ciszej.

— Ten lord—to Walek Miętus, syn mojego dawnego kowala!

Wszyscy osłupieli, tylko prezesowa upierała się przy swojem.

— Ale ona—to z pewnością jakaś lady, z pewnością...

— Ta lady Kaśka—to córka mojego kucharza! Romantyczne, co! Jak Pana Boga kocham, nie maluję, lecz mówię szczerą prawdę. Przyjeżdżali do rodziny, a teraz wracają do Ameryki. Znam ich oboje od pempciów. Temu lordowi nieraz, panie dobrodziejski, sprawiałem wnyki, aż trzeszczało, a lady pasała nam gęsi! Jak Pana Boga kocham! Od bydła uciekł we świat, a teraz wielki pan. Chamy górą, niema co! Nie przystępuj bez kija...

A chociaż szlachcic znany był z koloryzowania, uwierzono mu jednak i, jakby mszcząc się za zawód, patrzano ze wzgardą na tę parę i odwracano się do niej plecami, a prezesowa powiedziała bardzo głośno.

— Naturalnie, byle parobek, jak ma pieniądze, może udawać lorda.

Tylko Józio ucieszył się z tego odkrycia i chciał się z niemi poznajomić, ale woźny przyleciał po niego i musiał iść do kasy.

I znowu stał przy swoim okienku, i znowu najrozmaitsze ręce wyciągały się po bilety, padały prędko nazwy stacyi, brzęczały pieniądze, trzaskał monotonnie stęplujący aparat, i Józio znowu pracował, jak automat.

Nie miał nawet czasu wyjrzeć na pociąg, więc, załatwiwszy ostatniego pasażera, z przyjemnością przeciągał spracowane kości, gdy wsunęły się znajome ręce w pocerowanych, czarnych rękawiczkach.

— Słowo daję, nie miałem czasu wyjść po ciebie, — tłomaczył się skwapliwie.

Frania wsadziła w okienko twarz zarumienioną.

— A kuku! Mogę zostać, co? Spotkałam tych bubków z linii, powiedzieli, że pan w Warszawie, chcieli mnie zmanić do siebie, ale— niema głupich, mają na trzech jedną kołdrę i dwa sienniki! Strasznie się cieszę, że pana zastałam!

DCN.

Zygmunt Bartkiewicz.

63.

Nowela, którą dajemy poniżej, jest jedną z dwu inkryminowanych z tomu skonfiskowanego p. t. SŁABE SERCE, o które toczyła się w ubiegłym tygodniu sprawa sądowa, wytoczona przez prokuratoryę. Wyrokiem sądowym nowela ta, mając świetnego obrońce w osobie mecenasa Ad. Pepłowskiego, została z pod zarzutu całkowicie zwolniona, za drugą p. t. MATCZYNA DOLA autor został skazany na 10 dni aresztu. Ponieważ książka po wydrukowaniu była skonfiskowana i nowela ta nie została rozpowszechniona, dajemy ją obecnie, jako zrehabilitowaną, pewni, że obudzi ona zajęcie naszych czytelników.

Lekka była zima 1863 roku, z czego dobre wróżby snuto, a choć ku wiośnie śniegi coraz szerzej z krwią ofiarną spływały, a od cichych chat i zgiełkliwych zaścianków coraz gęściej szły zawodzenia rzewne i groźne pomruki, — w duszach ludzkich, obok dławionego bólu, wśród mroku żądz nienawistnych, rozbłysła nadzieja.

— Jeziorański w Rawie spalił koszary; pułkownik Kurowski z Sosnowca za granicę ich wygnał, zabrał kasę skarbową; u Białej Mamajewa zgnietli; Janów, Siemiatycze, Prużany—zwycięstwo!

I co dnia lecą wieści radosne. Od czarnych świętokrzyskich jarów, od błot augustowskich, zarosłych bagien Niemna i Bobrzy, od Kampinosa, Białowieży, lasów Ropockich, ponurych ostępów, bez drogi, bez wody, gdzie słońce nie zjawia się nigdy, gdzie spokój, zamarły od wieków, dzikiego zwierza nęci, a dokąd człowieka gna nieszczęście lub zbrodnia, — dziś ztamtąd świetlana nadzieja, czar wyzwolenia i pijana, zuchwała, od od wszystkich uczuć silniejsza, pomsty radość.

Ale dziwna to radość: w oczach nie tli weselem, tylko brwi ściąga, a uśmiech, gdy kły białe odsłoni, zda się, że radeby one gryźć, szarpać—z uciechy.

— Pobili.. nasi pobili!—huczy wieś cała po walce, od chaty do chaty głos leci, aż całą polską równinę ogarnie, huknie jeszcze po lasach, nad wodami jęknie, i zginie, gromem klęski zgłuszony:

— Pod Węgrowem wszyscy zginęli, Wąchock, Suchedniów — o, Jezu! i ten, co wczoraj nie wierzył, zwycięstwu szyderczo urągał, chłop ukrzywdzony, dziś wobec nieszczęścia ryknął, jak zwierz, na kole grabowym kosę odwrócił, u skraju puszczy babę uścisnął, od czepiających dzieciaków otrząsnął:

— Z Bogiem, ostańta!

Ciemny bór zamknął się za nim.

I tak każdego zmroku, gdy u chat gospodarze radzą, kogoś zabraknie do rady, a kto raźniejszy, kto młodszy, zniecierpliwi się, rzuci:

— I dobrze, bo nie językiem nam trza wojować, ale z kosą iść.

Na to starsi, mądrzejsi:

— Iść—to iść, ale trza się przecie ugadać, nie bez rozumu kosisko ze wsi na zmarnowanie wynieść.

— Ale!...

I radzą.

Trwożnie, półgłosem, bo czas taki, że i w obejściu człowiek niepewny, czasem, choć swój, a gotów do zdrady.

— Cichaj ta!.. Idzie Grzybowski.

Grzybowski, chłop starv, pochylony. w barkach szeroki, jak tur, oczami tylko ich zmierzy i minie, ale raz—w sam środek gromady się wparł, siwą głową potrząsnął:

— Głupiście wy moi! I wyśta, stary Droździe, głupi, i wy, Pękowski, i wy, Marcinie, głupi! Boita się mnie, a do panów, a do boru was ciągnie. Gorsze oni wrogi, jak tamte...

— A może i tak, ale...

— Nie może, a pewno, ja swój chłop—i do was to mówię. Pół sta lat wojowałem bez mała—i co za to? Na polu bitwy rodziłem się, a kiej matka pod Maciejowicami zrąbanego ojca poznała i u trupa zległa, już mi widno dla wojny się rodzić było pisane. I groblę pod Lipskiem ja widział, i pod Ostrołęką bagnetami mię skłuli, a potem znów na Węgrach uradzili pany za chłopską skórą wojować—i dużo mojego serca i mojej juchy już poszło na pańskie wysługi Co za to? Ni woli, ni ziemi, a jak się trafiła okazya, dziedzic do kancelaryi przyzwał, nie patrzał na krzyże, a po gębie bił... Młody córkę mi zwiódł, honorem nadgrodził...

Zaśmiał się stary, aż chłód po gromadzie szedł.

— I co chceta? Myślita z garścią a kosą Polskę zwojować, bo obiecuje szlachta, a niech ino wygra, wnetki wam „jeszcze Polska nie zginęła“ na skórze wypisze!

Zadumała się chwilę gromada, ktoś mruknął nieśmiało:

— Księża z ambony głosili, że grunt na wieczyste idzie, robocizna do woli, a kto do nich przystanie, temu...

— A juści, juści! Ino im wierzta. To już dawniej bywało, nie nowotny to wymysł. Jak naczelnik w sukmanę się przebrał, zara takie gadki w lud poszły. Toć mi ociec powiadał.

— Zaś ksiądz po próżnicy by bajał?..

Stary zamyślił się chwilę.

— At, głupiśta, mój Droździe, i wy, Pękowski, głupi, a czegośta własnym rozumem nie doszli, ja

nie nauczę...—machnął ręką i powlókł się w pole.

— Toć prawda, że wojował on dużo, — któryś z gospodarzy potwierdził.

— I bez to taki zawzięty.

W powietrzu na wczesną wiosnę już szło, a choć po bruzdach, po dołkach jeszcze śnieg leżał, nie spodziewano się chłodów. Wody zbiegły już z gór, czarne ptactwo w lasy zapadło, ruszyły z mateczników niedźwiedzie, a chłop około owsa i żyta jarego się krzątał.

Ale niesporo z robotą, gdy w myślach troska zasiędzie, i markocity się baby, że ino pogwarki a medytacye mężów zajmują, z czego żadnego profitu, jeno zmartwienie, bo wiadomo, że chłop nigdy na dobre po łbie się nie drapie i nie chodzi sierdzisty a chmurny, jak zaś na przyźbie godzinami siedzi, kozikiem nic do rzeczy struga, — pewne nieszczęście.

A znaki na niebie—co wieczora to inne: to krzyż, to siekiera, to oko złociste. Jakieś ci dziady, mądre okrutnie, po chałupach chodzą, nic nie zabierze taki, a jeszcze papier ostawi, także rządca nie bije, dziedzic na rolę nie chytry, młody na dziewuchy nie łasy, i tak ci we wszystkiem odmiana—może na lepsze, ino, że chłopy coś radzą. A nad czem, nie mdły babski rozum, a choć która ze starszych miarkuje co nieco, ktoby tam zaś czego dopytał.

Wej, starv Grzybowski—toć mądrzejszego chłopa nie potrza, a głowę zwiesił, zasumowany okrutnie, i ciągle w polu, to ucho do boru odwróci, to na drodze coś wypatruje. Musi nieszczęście idzie od miasta, bo co złego, to od miasta zawsze. I od boru coś idzie a huka.

Ale i staremu także nie wesoło na myśli: klnie a pomstuje, tylko że bez ulgi, cosić na wnątrzu go ssie. Wie stary dobrze, co to huka po lasach, lecz nie odzywa się w sercu ochotą, bo tam żalów zebrało się wiele, wszystko wyżęły, nawet gdy raz we wsi chłopa obwiesili kozacy, nie przejęła go litość.

— Sprawiedliwie ci tak! Rola chłopska je rzecz, a wojna pańska zabawa,—i dobrze, bo chłop wojny niegodny, a sznura zwyczajny.

I co dnia wypatruje zawzięty Grzybowski, kiedy przyjdzie pomsta kozacka, paniczków, co hukają po kniei, na pikach rozniesie. I medytuje stary, jak to bór osaczy piechota, wej, na górkę zatoczą armaty, a kozacy do środka—do środka...

I uśmiecha się stary, i rad.

Ale bez odmiany wcale, cosik na wnętrzu go ssie...

— Bo dlaczego nie idą? powinni już być.

Zmogło go już to oczekiwanie: w dni kilka postarzał—i do jadła gust stracił, aż gdy nareszcie nad traktem od Kielc podniósł się płowy tuman—i sunął, chłop rękę za sukmanę aż wraził, tak złomotało w nim serce, jakby na śmierć.

— Idą!

Potem ręką oczy od słońca przysłonił, w dal patrzał.

— Kupą, ale równo idą.

Podbiegł, jak młody, na wzgórek; jeszcze mu nizko, na kopiec się wdarł, a gdy z pyłu wyłaniać się poczęły wyraźne cienie i blaski, szeptał:

— Przodem szpica dragońska, piechota za nią... Równo, juchy, idą.

— Za niemi armaty: dwie, cztery; kozaków ze dwa sta,—sprawiedliwie tak!..

I aż przysiadł Grzybowski. Pomsta gra w duszy, rozpiera.

— Za chłopską krzywdę! Za ojca, za dziada! Jak dobrze lewe skrzydło założą a ruszą, żywa dusza nie ujdzie przez błota! Sprawiedliwie tak!

A traktem ciemny, górą srebrzysty, wąż sunie. Miękkie blaski kasków, bagnetów skry w rzędach, za niemi spiż migotliwy, a dalej jasne budy furgonów przewalają się w piachu.

Grzybowski oczy wparł w pochód.

— Żywa dusza nie ujdzie. A wszystko bez głupstwo, bo komu to kosą wojować, z czapkami na armaty iść?

I zadumał się stary, głowę na ręce pochylił, snując powoli dawne wspomnienia. Cisnęły się jedne przez drugie, wypływały z myśli jasne, wyraźne, to znowu bezładnie tłoczyły się w mózgu, zapomnieniem przyćmione.

DCN

Stefan Krzywoszewski.

PRZYWÓDCA.

Akt I.

Dramat w 3-ch aktach.

MARYA. Potrafi cały wieczór przesiedzieć i nie otworzyć ust. Pamięta pan, kiedy były te panie z Warszawy?

KAZIMIERZ (*uśmiecha się*). Tak...

LUDKA. Ja wcale nie znajduję, żeby pan był nieśmiały... (*z fabryki wychodzi paru robotników*).

ROBOTNIK (*do drugiego*). Co on tam nowego powie? (*spostrzegając Kazimierza*) A... przepraszamy... (*wychodzi wraz z towarzyszem*).

MARYA (*niezadowolona*). Władzio niepotrzebnie się rozgadał...

LUDKA... Jabym tak chciała go posłuchać...

KAZIMIERZ. Ależ—proszępanią... (*prowadzi ją do drzwi, które uchyla*). Zróbcie dla pani trochę miejsca... (*gdy otwiera drzwi, słychac, jak Władysław mówi*).

WŁADYSŁAW (*za sceną*). Walka, którą toczymy, musi wprowadzić nas w królestwo wolności? Cóż mamy do stracenia? (*Kazimierz zamyka drzwi i głos Władysława niknie*).

Scena 6.

Marya, Kazimierz.

MARYA (*od niechcenia*). Podoba się panu nasza kuzynka?

KAZIMIERZ (*z naiwnym zachwytem*). Niezwykła kobieta!

MARYA (*przykro zdziwiona*). Niezwykła?

KAZIMIERZ (*lekko zmieszany*). Tyle wdzięku, tyle... dobroci, słodyczy.

MARYA (*pogardliwie*). W gruncie rzeczy dość pospolita... Gdy ją pan pozna bliżej, dozna pan rozczarowania. Umysł zupełnie przeciętny.

KAZIMIERZ (*dotknięty*). Pani wszędzie upatruje tylko złe i brzydkie.

MARYA (*patrzy nań uważnie*). Naprawdę się panu podoba?

KAZIMIERZ (*zmieszany*). Nie wiem, jak to pani rozumie.

MARYA. Fi, panie Kazimierzu, przecież pan *nie jest* zwykłym człowiekiem! Dlatego, że świeży buziak...

KAZIMIERZ (*j. w.*). Proszę pa-

ni... Ja przez jednę chwilę nie myślałem...

(Ludka wraca, gdy otwiera drzwi, słychać słabe oklaski).

Scena 7.

Ciż, Ludka, później — Władysław, Szulc.

LUDKA *(żywo pod wrażeniem).* Nie miałaś słuszności. Władzio bardzo dobrze mówi... Teraz skończył właśnie. Jest tylko trochę patetyczny... *(wchodzi Władysław).* Otóż i sam mówca *(podchodzi do niego).* Brawo! Winszuję! Choć się wcale z tobą nie zgadzam *(całuje go w policzki).*

WŁADYSŁAW *(uradowany komplementem).* Słyszałaś?

LUDKA. Zakończenie.

WŁADYSŁAW *(j. w.).* I naprawdę... podobało ci się?

LUDKA. Zupełnie szczerze... Nigdy nie przypuszczałam...

WŁADYSŁAW *(jak gdyby chciał pokazać żonie, że ona nie ma racyi).* Widzisz, Ludka mówi, że dobrze...

MARYA *(niechętnie).* E!... co ona tam wie... No, teraz już czas na obiad *(do Kazimierza).* Więc nie pójdzie pan z nami?

KAZIMIERZ. Nie mogę... Bardzo przepraszam.

MARYA. Do widzenia...

WŁADYSŁAW. Do widzenia!

KAZIMIERZ *(ściska podaną dłoń Ludki, trochę uroczyście).* Żegnam panią.

LUDKA *(z uśmiechem).* Pewno wkrótce się zobaczymy... *(gdy wychodzą drzwiami na podwórze, z fabryki wychodzi Szulc. Kazimierz idzie do okna i patrzy za idącą Ludką. Szulc idzie za nim).*

Scena 8.

Kazimierz, Szulc.

SZULC *(patrzy w okno).* Piękna! prawda?

KAZIMIERZ *(który go nie widział, drgnął pomieszany, jak gdyby usłyszał głośno to, co myślał w tej chwili).* Co? a... to pan... *(odwraca się od okna).*

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

(Scena przedstawia skromnie i niegustownie umeblowany pokój jadalny. Kredens, stół, krzesła giętkie, jakiś jeden oleodruk, mułomieszczańska brzydota, nie rozjaśniona lemi drobiazgami, które zwykle służą obecność kobiety i które czynią mieszkanie pełnem i zamieszkałem. Dwoje drzwi, z lewej strony i w głębi. Z prawej strony dwa okna. Wieczór czerwcowy, okna otwarte. Stół nakryły jeszcze obrusem po skończonym obiedzie.

Scena 1.

Marya, Ludka, Władysław.

(Ludka krząta się między kredensem a stołem, Władysław pali papierosa).

LUDKA *(wesoło).* Jabym za żadne skarby nie zgodziła się na takiego stołownika. Nigdy nie przyjdzie o właściwej porze, zawsze zostawiać, odgrzewać...

WŁADYSŁAW *(tonem obrony).* Prosił, żeby na niego nie czekać, że wcale nie przyjdzie... Tem bardziej, że wiedział, iż Mania i ja mamy dzisiaj wieczorem robotę... Ja nastawałam koniecznie, żeby przyszedł—o jakiejkolwiek porze... Więc jeśli czyja wina, to tylko moja...

MARYA. Bardzo dobrze zrobiłeś. My przecież z Łomęckim nie będziemy przestrzegać ceremonii.

LUDKA *(j. w.).* Ten człowiek nigdy nie ma czasu zjeść obiadu! Wy wszyscy zresztą tacy sami... I w domu ma być porządek! Co ja mam z wami! *(zmienia ton).* Któż mi zabrał moje kwiaty?

MARYA *(wskazuje stolik w kącie).* Tam są.

LUDKA. W takim kącie! Mój wspaniały bukiet! Boże, Ty widzisz to i nie grzmisz! *(nagle wybucha głośnym śmiechem).* Nie, ja sobie przypomnę... *(urywa).*

WŁADYSŁAW *(mimowoli porwany jej wesołością, uśmiecha się).* Z czego się tak śmiejesz?

LUDKA *(śmiejąc się).* Żebyś ty słyszał Borskiego! *(naśladuje).* Z obdartusami ostatniego rzędu całą noc... proszę pani. To są żarty, proszę pani, które można życiem przypłacić. Ludzie bez wychowania, bez żadnych skrupułów *(śmieje się).*

WŁADYSŁAW *(uśmiecha się).* Ja całej tej historyi jeszcze dobrze nie rozumiem.

LUDKA. Szedł spokojnie, nagle słyszy za sobą hałas... Odwraca się... Garuniewicz i Szulc chwytają go za ręce.—Pan hrabia z nami? I pociągają go za sobą, lecą, potem puszczają, sami rozpraszają się w bocznych uliczkach. Borski zostaje, nie wiedząc, czego od niego chcą, i w tej chwili patrol aresztuje go... Zanim się wytłomaczył, musiał 24 godzin przesiedzieć... Rzeczywiście, to jest więcej, niż nieprzyjemne. Żart bardzo dotkliwy i przykry... ale żebyście widzieli jego minę! *(śmieje się).* Wstyd mi, że zamiast go żałować, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu...

MARYA *(pali papierosa).* Cóż go żałować! Inni, stokroć więcej warci od niego, siedzą miesiące i lata.

WŁADYSŁAW *(rozweselony).* No... ale wiedzą przynajmniej, za co... Chociaż prawda, że niezawsze...

LUDKA *(j. w.).* A Brukwa... *(naśladuje).* Dawniej na wiosnę młodzi ludzie bawili się w zielone, jeździli na majówki... Teraz, proszę pani, takie sobie zabawki urządzają! Zgroza pomyśleć *(śmieje się).* Poczciwy Brukwa. Ja go tak lubię.

MARYA *(wzrusza ramionami, sucho).* Dziwnie lokujesz swoje sympatye... *(wstaje).* W czem może być taki Brukwa sympatycznym.

LUDKA. Bardzo poczciwy. *(Marya wychodzi, Ludka przekłada kwiaty w wazonie, do Władysława).* Wiesz, tu u was za mało światła—i dlatego trochę smutno.

WŁADYSŁAW. Zapalę drugą lampę... *(wstaje i zapala lampę).* Ale ja ci powiem... u nas nie dlatego smutno... Ja nie wiem...

LUDKA. Ja lubię dużo światła. Żeby było jasno.

WŁADYSŁAW *(w głosie tajony wyrzut).* Mania nie dba o to... Ją dom nie obchodzi... *(Jakby ją chciał bronić)* Ona... wszystkie swoje myśli koncentruje gdzieindziej...

LUDKA. To tak przyjemnie mieć własny dom, miły, zaciszny. Czuć się u siebie...

WŁADYSŁAW. Jabym także lubił... Lecz dom robi kobieta... Ja nie potrafię (*z westchnieniem*). Ach! gdyby Mania, jak ty... Ale co ona kocha? (*po chwili*). Czy ty ją rozumiesz, powiedz?

LUDKA (*kładzie mu rękę na ramieniu, ze szczerem współczuciem*). Ty, jak dawniej... nie czujesz się szczęśliwym?...

WŁADYSŁAW. Bo cóż się zmieniło? Czekam zawsze dobrego słowa, jak zmiłowania... Co ja mam wreszcie robić? (*ogląda się na drzwi, które wyszła Marya*). Ona w głębi duszy mną pogardza... Jestem pewny. Jabym wszystko zrobił, żeby ją poruszyć, żeby ją zadziwić! Nigdy... Nie wiem,czy to możesz pojąć... choć ona jest moją żoną, ja jej nie mogę zdobyć, ona nie jest moją, wymyka mi się wciąż, jest obcą, daleką... Raz, przed laty—zdawało mi się... Ale nie... To jest męka! (*z lekkim wstydem*) Ja nie tylko *ją* kocham, ja się *w niej* kocham... (*patrzy niespokojnie Ludce w oczy*). Nie śmiej się...

jeszczem nikomu tego nie mówił... ale tobie...

LUDKA (*serdecznie*). W tem, co mówisz, tkwi ból, a szczery ból może budzić tylko szacunek... Mnie się zdaje, że się uprzedzasz... Mania żyje życiem wewnętrznem, nie umie wydobyć z siebie na zewnątrz tego... tego ciepła... Jakżeby ona mogła ciebie nie oceniać? Ty jesteś taki dobry!

WŁADYSŁAW. Ja nie jestem dobry, nie...

LUDKA (*głaszcze go po twarzy*). Jesteś...

WŁADYSŁAW. To ty jesteś bardzo dobra i widzisz dlatego we wszystkich dobroć (*wchodzi Marya*).

MARYA. Cóż za czuła scena! (*do Ludki*). Chcesz obudzić we mnie zazdrość?

WŁADYSŁAW (*wprowadzony w weselszy nastrój*). To byłby daremny trud. Ale ja znam kogoś, co gdyby nas tak zobaczył...

LUDKA (*udaje, że nie rozumie*). Ja nie znam nikogo...

WŁADYSŁAW (*wesoło*). Nie udawaj. Wiesz dobrze.

MARYA (*cierpko*). Może i mnie wtajemniczycie w te sukcesy.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Gdy Dominika chodziła tak wzdłuż platformy pomiędzy handlarzami owoców, przewodnikami, tragarzami w turbanach ze swemi noszami, gapiącemi się dziećmi i obdartymi podróżnymi, którzy tłoczyli się do pociągu, myślała o pustyni, której była już tak blizko. Wiedziała, iż leży ona poza tą straszną twierdzą skał, która tu oto przed nią. Nie mogła atoli dojrzeć otworu. Spiętrzone wierzchołki skał, poszarpane, jak zęby wilka, odcinały się surowo od czystości przezroczej nieba. Tu i owdzie, ukryte w ciemności gardzieli u ich stóp, były ich usta, od których szedł ów czarowny oddech, drżący wolnością i nieziemskiemi rzeczami. Słońce już się chyliło, i światło, jakie rzucało, stawało się łagodnem i romantycznem. Wkrótce stanie się wieczór na pustyni. A potem—noc. I ona będzie tu w tej nocy ze wszystkiemi rzeczami, które ma w sobie pustynia.

Sznur wielbłądów przeciągnął po białej drodze, która spuszczała się w cień gardzieli. Prowadziło je kilku dziko wyglądających ludzi, nawołujących bez ustanku „oosz, oosz!". Znikneli — ludzie pustyni ze swemi zwierzętami pustyni, dążący niewątpliwie w podróż obłąkującą poprzez obszary słońca. Gdzie wreszcie wyładują swe jęczące wielbłądy? Domini ujrzała ich w środku niziny, krwawej od ogniów umierających zachodu. Cienie ich leżały wzdłuż piasków, jak rzeczy zmęczone i odpoczywające.

Drgnęła na głos, który ozwał się do niej po francusku. Obejrzawszy się, ujrzała dorodnego chłopca arabskiego, przepysznie ubranego w blado błękitne sukienne spodnie, w kurtkę żuawską, obramowaną złotem, i w fez — stojącego tuż koło niej. Uderzył ją kolor jego skóry, który był smagły, jak kolor kawy mlecznej, i kontrast pomiędzy jego olbrzymią budową i tęsknością, prawie niewieścią, jego obejścia. Gdy się odwróciła ku niemu, uśmiechnął się do niej łagodnie i wskazał ręką ku twiedzy skał.

— Pani widziała już kiedy pustynię? — zapytał.

— Nigdy jeszcze, — odrzekła Domini

— To ogród zapomnienia, — mówił wciąż nizkim głosem, delikatnie cieniując słowa i prawie z zalotnością... — W pustyni zapomina się o wszystkiem — i o serduszku, które się kocha, i o pragnieniu własnej duszy.

— Jakżeż to się staje? — spytała Domini.

— Szal-làh. Wola Boża. Nic się już nie pamięta.

Oczy jego były utkwione w olbrzymie wierzchołki skał. Było coś fanatycznego i wysoce wyobraźniowego w tem spojrzeniu.

— Jak masz na imię? — spytała Domini.

— Batucz, pani. Pani do Beni- Mora?

— Tak jest, Batucz.

— Ja też. Dzisiejszej nocy, pod drzewem mimozy, skomponuję poemat. Będzie on skierowany do Ireny, tancerki. Podobną jest ona do młodego księżyca, który po raz pierwszy wychodzi z ponad drzew palmowych.

Pociąg od Beni-Mora właśnie był wtoczył się na stacyę, i Domini odwróciła się, szukając swego wagonu. Gdy się już zbliżyła do niego, zauważyła, z niepokojem tych samolubnych podróżnych, którzy nie chcą być niepokojeni, iż człek wysokiego wzrostu, obsługiwany przez tragarza Araba, niosącego zielony worek podróżny, był u drzwi wagonu, z zamiarem widocznym wejścia do niego. Gdy Domini podeszła, właśnie obejrzał się, jakoś niezdarnie podał się w tył, jakby pragnąc ją przepuścić, i naraz raptownie sam wskoczył tuż przed nią. Arab podał mu worek, i człek ów, pragnąc w pośpiechu wsunąć mu nieco drobnych do ręki, upuścił monetę, która upadła pomiędzy stopnie wagonu i platformę. Arab natychmiast rzucił się chciwie na poszukiwania, zajmując ciałem swem przestrzeń pomiędzy pociągiem i Domini—tak, iż zmuszona była stać oczekując, podczas gdy ów grzebał się bronzowemi paluchami w ziemi, wyrzucając głuche okrzyki, widocznie w złości. Przez ten czas wysoki człek złożył swój worek na siatce, udał się spiesznie na dalsze miejsce przedziału i siadł, wyglądając przez okno.

Domini uderzyło niezdecydowanie i pośpiech niepewny podróżnego wraz z brakiem dworskości. Najwidoczniej nie gentleman to, pomyślała, poszedł by bowiem za pierwszym odruchem i dałby jej przejść pierwszej do wagonu. Zdawało się atoli, że jakby postanowił sobie być niedworskim, siadł bowiem odwrócony niezłomnie od drzwi, nie zwracając zgoła uwagi na Araba, chociaż pociąg miał ruszyć za chwilę. Domini była bardzo zmęczona i poczęła się złościć, a nawet czuć pogardę. Arab nie mógł znaleźć monety — tymczasem trąbka znów się ozwała, ostrzegając o odejściu pociągu. Był wielki czas wejścia do wagonu, jeżeli nie chciała zostać w El-Akbara. Zamierzyła przejść przez grzebiącego się Araba, lecz gdy krok postąpiła, ów nagle powstał, wskoczył na stopień wagonu i, ciałem swem wpół się wchylając we drzwi wejściowe, począł wyrzucać potok słów po arabsku do podróżnego. Trąbka znów zadźwięczała i wagony szarpnęły

w tył przygotowawczo, by ruszyć w drogę do Beni-Mora.

Domini chwyciła Araba za krótki kaftan europejski, który miał na sobie, i rzekła po francusku:

— Proszę mnie puścić natychmiast! Pociąg rusza!

Arab jednakże, kierowany widokiem otrzymania monety wzamian za utraconą, nie zwracając na nią uwagi, w dalszym ciągu krzyczał i gestykulował. Podróżny rzekł coś po arabsku. Domini znów ogarnę a złość. Chwyciła Araba za kaftan, użyła całej swej siły i pchnęła go gwałtownie ode drzwi. Ów zatoczył się na platformie i upadł w pobliżu. Zanim się opamiętał, Domini wskoczyła do wagonu, który w tejże chwili ruszył.

Gdy weszła, podróżny, który sprawił całą tę przykrą przygodę, był wychylony ciałem ze srebrną monetą w dłoni, jakgdyby z zamiarem wyjścia. Domini rzuciła ku niemu pogardliwy wzrok, ów zaś szybko obrócił się znowu ku oknu i wyjrzał, chowając jednocześnie monetę do kieszeni. Ciemny rumieniec okrył jego twarz, nie wyrzekł atoli przeproszenia, a nawet nie zadał sobie trudu zaszczepienia klamki od drzwi.

— Co za gbur! — pomyślała Domini, wychylając się przez okno, by zamknąć drzwi.

Gdy odwróciła się od drzwi, zabezpieczywszy je klamką obaczyła, iż wagon był pełen bladego zmierzchu. Pociąg wszedł w gardziel śladami karawany wielbłądów, którą była widziała uprzednio. Nie zwracała już uwagi na swego towarzysza i uczucie ostrego gniewu przeciw niemu zagasło na chwilę. Piętrzące się skały rzucały olbrzymie cienie, mrok gęstniał, pociąg, zwiększając pośpiech, zdawał się lecieć naprzód w objęcia nocy. W powietrzu był chłód rzeźki. Domini chłonęła go swemi płucami, wciąż i wciąż bardziej niecona, wstrząsana, sycona jego żywotnością i mocą duchową. Była świadoma, że bierze go w siebie namiętnie, jakby— dajmy na to — trzymała wargi na ustach i piła bytu jakiegoś żywioł najlepszy. Zapomniała świeżej przykrości i człowieka, który ją był zgotował. Zapomniała o wszystkiem w tem jedynem wrażeniu. Nie miała czasu spytać siebie: „Dokąd idę?". Czuła się jakby niesioną przez fale, w lico morzu, cudowi, niebezpieczeństwu nawet—szemrzącego niewiadomego. Skały chyliły się naprzód; zęby ich odrzynały się na niebie; zamykały pociąg, precz żonąc słońce i świat ze wszelkiem życiem, które w nim. Chwytała szum wartki walących się wód pod sobą, kruszonych ław, pokrytych szczątkami, jak ławy złomów zużytych; głazów połupanych, spiętrzonych w dzikim nieładzie, jakby tu były wyrzygnione przez świat jakiś podziemny lub niecone w zapalczywości z nieba; uciekających kształtów drzew owocowych, morwowych i morelowych, palm i oleandrów; ciemnych żółtych ścian stłoczonych, koloru piołunu, niezamąconych i cichych. Dziwne wrażenie rosnącego zimna i mroku powstawało w niej, a hałas pociągu stawał się pusty, drążony i zdawał się rozciągać, jakby chciał gwałtem przedrzeć się przez nawisłe skały i znaleść wylot w przestrzeni. Wpadając, rósł on gwałtownie, gniewnie w uszach Domini, kłócąc się, przecząc, głosząc, dowodząc. Ciemność stawała się podobną do ciemności koszmaru. Wszystkie drzewa zniknęły, jakby pierzchły w strachu. Skały zamknęły się, jakby chciały zgnieść pociąg. Była chwila, że Domini zamknęła oczy, jak w oczekiwaniu strasznego zderzenia, którego nie podobna uniknąć.

Otworzyła je na falę złota, z której twarz ludzka patrzała, jak twarz patrząca z samego serca słońca.

III.

Padł na nią blask od pustyni z płomiennem bogactwem barw, od pomarańczowo zabarwionych skał i pierwszych piasków pustki dzikiej; od płowych wiosek, lśniących w promiennych blaskach wieczoru i jak z bronzu rzezanych, od pierwszych palm na oazach, z głęboką ich zielenią, niby fala morska, i ruchomych, jak fale: pierwsze cuda żarów Sahary i przestworów Sahary.

Przestąpiła złote wrota i weszła do niebieskiej krainy, ujrzała jej lico i przez chwilę wzruszona cudownem przeobrażeniem całego tego świata, patrzała nań z naiwnością, jak na nowe widoki, ze słońcem, z potężnemi skałami, głuchemi wioskami i gęstemi drzewami, oczom jej objawione, i nie łączyła tego z niczem, dotychczas widzianem. Było to dla niej już cząstką obszarów tej dziwnej i wspaniałej pustyni. Dla chwili było to wszystko.

W nieokiełzanej grze złotych blasków widziana twarz zdała się być bladą. Była to szczupła twarz, podłużna raczej, z wyraźnemi, wybitnemi rysami, z orlim nosem; usta równe z czerwonemi wargami i silnie wydatnym podbródkiem. Oczy były piwne, prawie żółtawe, z ciekawemi centkami ciemniejszego koloru; mocno czarne źrenice i ciemno okolone tęczówki. Rzęsy były bardzo długie, a brwi gęste i mocno zgięte. Czoło wysokie, przy skroniach nieco wypukłe. Twarz była bez zarostu, starannie ogolona. Koło ust szły dwie lekkie rysy. Patrząc na nie, Domini myślała o cierpieniach ciała i duszy i o rycerzach średniowiecznych. Pomimo wspaniałego jaśnienia zachodzącego słońca, zdawało jej się, że cień pada na tę twarz.

To było wszystko, co Domini zauważyła, zanim czar zmiany i olśnienie raptowne minęło — zanim spostrzegła się, że patrzy w twarz człowieka, który tak szorstko obszedł się z nią na stacyi w El-Akbara.

Świadomość ta otrząsnęła ją ostatecznie — i pomyślała, że wyraz jej musiał się zmienić raptownie, gdyż ciemna łuna przeszła po szczupłych policzkach cudzoziemca i podniosła się aż do jego chmurnego czoła. Wyjrzał przez okno i poruszył niezręcznie rękoma. Domini zauważyła, że dziwnie nie licowały one z twarzą. Choć czysto utrzymane, wyglądały raczej na ręce robotnika, twarde, szerokie i opalone; palce jednak były delikatne i artystycznie wykrojone.

Domini zaobserwowała to szybko, lecz razem spostrzegła, że sąsiad jej nieprzyjemnie jest świadom tych obserwacyi. Niemiłem jej to było, gdyż drobna ta okoliczność jakby łączyła ich nikłemi węzłami. Zerwała je, przestając spoglądać ku niemu i myśleć o nim.

Okno było otwarte. Delikatny i ciepły powiew szedł od gaju palmowego. Dołem biegła droga koło wioski; byli na niej ludzie; starsi grali w kamienie na piasku znaczonym; kobiece postacie ukazywały się na płaskich dachach i u drzwi przydrożnych; dzieci pępędziły stada kóz. Jakiś człek piękny, podobny do Chrystusa, z długiemi włosami i kędzierzawą brodą, uderzał laską w ziemię i zawodził bezdźwięcznie; nikt nie zwracał na niego uwagi. Szaty miał zielone i czerwone.

DCN.

Druk Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie. Redaktor: JÓZEF JANKOWSKI.
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zyblikiewicza, № 8.